

podobno w ten sposób, że im daje czwartą część, a sobie trzy czwarte zabiera. Jednem słowem są to współnicy. Jak się zdaje, Marco jest jednym z nich.

— I August także zapewne? — zaśmiał się drwiąco Valenglay. August, który można powiedzieć, wcale nie opuszcza prezydentury, sypia tu nawet...

— Panie prezydencie, czy wolno mi wezwać drugiego woźnego, który czeka w poczekalni?

Valenglay zadzwonił. Wszedł drugi woźny.

— Potrzebujemy pewnego wyjaśnienia — zwrócił się do niego szef bezpieczeństwa. — Byliście na służbie przez cały ten tydzień?

— Tak, proszę pana, przez cały ten tydzień.

— Nie wychodziliście na miasto we wtorek po południu?

— Nie wychodziłem.

— A wy, Auguste? — zapytał starszego woźnego.

— Ja także nie wychodziłem.

— Ależ owszem — wtrącił się drugi — przypomnijcie sobie, Auguste, wyszedłeś na cały dzień!

— Dobrze już, możecie odejść — rozkazał p. Lenormand.

Milczenie zaległo po wyjściu drugiego woźnego. Valenglay przestał się śmiać i uważnie słuchał, co powie szef bezpieczeństwa.

Pan Lenormand wrócił do Augusty i przemówił do niego tonem dobrodusznosci:

— Widzisz, nic nie poradzisz... jesteś przyłapany... najlepiej jest karty pokazać, kiedy gra przegrana... Cóżżeś robił we wtorek?

August starał się bronić.

— Ależ nic szczególnego... ja nie rozumiem... jeden mój przyjaciel z prowincji przyjechał i poszliśmy razem na przechadzkę.

— Ten przyjaciel nazywał się Marco. Poszliście zaś na spacer do piwnic banku *Crédit Lyonnais*.

— Ja? Co za przypuszczenie!... Marco?... Nie znam nikogo, kto by się tak nazywał.

— A to, czy poznajesz? — zawołał szef, podsuwając mu przed oczy parę okularów w złotej oprawie.

— Ależ nie... nie... ja nie noszę okularów...

— Owszem, nosisz je wtedy, gdy idziesz do *Crédit Lyonnais* i chcesz uchodzić za pana Kesselbacha. Te oto pochodzą z twego pokoju, z tego pokoju, który najmujesz pod imieniem Hieronima przy ulicy Collisée, numer 5.

— Ja miałbym wynajmować pokój? Sypiam w ministerium.

— Ale tam się przebierasz, ile razy masz odgrywać twoje role w szajce Lupina.

Woźny przesunął ręką po spocornem czole. Siny był cały. Belkotał:

— Ja nic nie rozumiem... Pan mówi takie rzeczy... takie rzeczy...

— Czy potrzeba ci czegoś, co byś lepiej zrozumiał? Ot, przypatrz się, co znalezione pomiędzy świstkami papieru, które wrzucasz do kosza pod biurkiem twojem, tutaj, w przedpokoju.

I pan Lenormand rozwinął arkusz papieru z nagłówkiem ministerjalnym; na arkuszu w różnych miejscach widne były, jak gdyby ktoś podpisy próbował, dwa wyrazy: Rudolf Kesselbach.

— No i cóż na to powiesz, sługo sprawiedliwy? Co powiesz na te wprawki w podpisywaniu Rudolfa Kesselbacha? Nie jestże to dowód?

Uderzenie pięścią w samą pierś zachwiało go na nogach. Jednym susem August znalazł się przed otwartym oknem, wyskoczył na balkon, a z balkonu na podwórze.

— Do diabła i ogatego! — krzyczał Valenglay — Ach! ten bandyta!

Dzwonił, biegał, chciał wołać przez okno. Pan Lenormand zaś przemówił najspokojniej w świecie?

— Niechże się pan nie alteruje, panie prezydencie.

— Ależ to kanalia... ten August...

— Chwileczkę, bądź pan łaskaw... przewidziałem takie rozwiązanie. Rachowałem na nie... lepiej już chyba przyznać się nie można.

Otrzeźwiony zimną krwią tamtego, Valenglay wrócił na swoje miejsce. W chwilę później wszedł

Gourel, prowadząc za kołnierz Augusta Filipa Daileron, z przydomkiem Hieronima, starszego woźnego w prezydium ministerjalnem.

— Dawaj go, Gourel! — rzekł pan Lenormand, tak jak się mówi: „daj tu“ dobremu wyłowi, który w pysku aportuje zwierzynę. Czy dał się wziąć?

— Gryzł trochę, ale ja tego ścisakałem. — odpowiedział inspektor, pokazując wielką swą, kościstą rękę.

— Dobrze, Gourel, a teraz możesz iść.

Gourel poszedł sobie, jak pies, co wraca do budy. Diensy poszedł za nim, a pan Lenormand rzekł do woźnego:

— Zmądrzeliśmy, Auguste Hieronimie, co? Rozumiemy teraz lepiej, nieprawdą, że położenie jest poważne, nie Ła żarty? Trochę jeszcze zgrzytamy zębami... ale trudna rada. Stój sobie tam spokojnie Auguste-Hieronimie, twoja obecność jest nam potrzebna.

Valenglay był ubawiony. Śmiejąc się, zacierał ręce. Myśl, że starszy woźny jego był współniukiem



Jednym susem August znalazł się przed otwartym oknem.

Lupina wydawała mu się uciechną i pełną ironii przygodą.

Naczelnny prokurator i prefekt policji milczeli, przekonani, wbrew woli, wystąpieniem pana Lenormanda i wszyscy trzej wyglądali z ciekawością, do czego on zmierza.

Pan Lenormand zaczął znowu, wspierając się na kiju, chodzić wzdłuż i wszerz po pokoju i mówił:

— Pomiędzy współnikami Lupina, panie prezydencie, jest druga jeszcze kategoria. Są to członkowie stowarzyszeń, luźniej związani z bandą. Tamci, ściślej mówiąc, nie pracują. Mają oni własne swe zawody, jako to medycynę, różne urzędy, handel, policyę — i to się im właśnie przydaje na usługi Lupina. On ich używa jako przewodników, wskazywaczy i to nie stale, ale od czasu do czasu, o ile ich potrzebuje i stosownie do ich uzdolnień.

Jednego specjalnością jest fałszerstwo pieniędzy, inny przemalowuje np. kradzione automobile, inny jeszcze ma stosunki w świecie antykwarzy, jeszcze inny wpośród księży. I w ten sposób ten oto August jest woźnym w biurach prezydialnych i specjalistą w fałszowaniu podpisów. Znajdzie pan w pokoju jego na rue Collisée, album, zawierające podpisy kilkuset naszych sławnych ludzi i bogatych bankierów.

— I co z tego wynika, mój drogi panie Lenormand? — przerwał Valenglay.

— To, panie prezydencie, że o ile towarzysze, stanowiący najbliższe otoczenie Lupina, oddani mu są na życie i śmierć, oddani z przywiązania i z uwielbienia i oddani przez własny interes — za to ci drudzy, nie ulegający bezpośredniemu jego wpływowi i oddziaływaniu, otrzymujący zasiłki prawdopodobnie ograniczone, nie biorący udziału w podziale grubego łupu — ci drudzy zapewne są przystępniejsi pokusom... W razie potrzeby można też z nimi wejść w porozumienie... Cóż na to powiesz Auguste?

Woźny ani drgnął.

Pan Lenormand przybliżył się do niego.

— Ile żadasz?

— Za co?

— A widzisz! Zaczynasz rozumieć... Ołóż dojdziemy do porozumienia. Słuchaj, masz mi powiedzieć, co wiesz...

— O kim?

— O Lupinie.

— Nie wiem nic.

— Kłamiesz.

— Nie. Nie widziałem go nigdy.

Nie znam go.

— Ostatecznie, to możebne. Ale jakim sposobem komunikujecie się z sobą.

Woźny nie odpowiedział.

— A! tak, warunki nie umówione. Czego więc żadasz?

— Wolności.

— Nie gadaj głupstw. Jesteś przyłapany, pójdziesz swoją koleją, tak jak inni i odsiedzisz swoją karę... pięć lat... dziesięć lat... to już nie do mnie należy. Nie, ale myśl o przyszłości... o starości twojej... Gdy stamtąd wyjdiesz, nie wiele z ciebie zostanie... Trzeba będzie żyć... Ile tedy żadasz?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Zwaryowałeś chyba?

— Nie zwaryowałem. Przez Marca dojdziecie do Lupina, a Lupin wart przecież pięćdziesiąt tysięcy.

— Proponuję ci dziesięć i ani grosza więcej.

— Czterdzieści... ani grosza mniej.

— Panie prezydencie, niech pan rozstrzyga.

— Dziesięć tysięcy — rzekł Valenglay — po aresztowaniu Marca, trzydzieści po aresztowaniu Lupina.

— Zgoda — odpowiedział woźny.

— A więc, skoro zgoda — pódjął znowu pan Lenormand — to gadajże i prowadź otwartą grę... bo w przeciwnym razie... W jakim się więc sposób znosicie?

— Za pośrednictwem towarzysza.

— A tym jest Marco?

— Tak.

— Gdzie Marco mieszka?

— Tego ja nie wiem.

— Ale możesz go odszukać, jak chcesz?

— Nie. Ile razy mnie Marco potrzebuje, za każdym razem telefonuje

do mnie.

— Dokąd?

— Tu, do ministerium.

— Dobry wybór miejsca. A gdy ty jego potrzebujesz?

— Posyłam do niego list, albo telegram.

— Dokąd?

— Poste restante, ulica Milton.

— Pod jakimi literami?

— T. L. B. N.

— I to jest wszystko, co wiesz?

— Wszystko. Więcej nie wiem nic.

— I uważasz, że to warte pięćdziesiąt tysięcy franków? Masz czoło, mój chłopcze!

— Trzeba tylko, żeby pan kazał czuwać w biurze pocztowym... Marco musi tam co rana zaglądać.

— Dziękuję ci za radę. Gourel! Diensy!

Otworzył drzwi obu agentom.

— Zawieźcie no mi tego człowieka do aresztu dorożką. I cicho szal! Żeby się dzienniki o tem nie dowiedziały.

(Ciąg dalszy nastąpi).